

WSZECHŚWIATOWI JESTEŚMY DOSKONAŁE OBOJĘTNI

Z dr. hab. Krzysztofem Świerkoszem, biologiem z Uniwersytetu Wrocławskiego, o szóstym wymieraniu, załamywaniu filarów, na których opiera się nasze bezpieczeństwo, pogrzebie przyszłości, mentalnym paleolicie, w którym żyje większość ludzi, i o tym, czy warto dać człowiekowi szansę przetrwania
rozmawia Hanna Schudy

Hanna Schudy: *Cóż tam, panie, w przyrodzie? Gatunki trzymają się mocno?*

Krzysztof Świerkosz: Zależy które gatunki i zależy gdzie. Dobrze, wręcz świetnie mają się na przykład gatunki inwazyjne i towarzyszące człowiekowi, tzw. synantropijne. Zwykle zakładamy, apriorycznie, że stan dzisiejszy jest stanem optymalnym, bądź też pożądanym, że jest swego rodzaju punktem wyjścia. Myślimy, że mamy obowiązek wręcz etyczny, aby zachować obecny stan gatunków, aby zachować stabilność ekosystemu. To są podstawy ochrony przyrody, na tym się opiera cała biologia konserwatorska. Tylko że my zaczęliśmy degradować ekosystem świata już ponad 40 tys. lat p.n.e., a wszystko zaczęło się od wymierania megafauny w Australii. Te gatunki, które znamy dziś jako rodzime z Australii i wydają nam się osią całego ekosystemu, są tylko nikłą pozostałością wielkiego wymierania, które rozpoczęło się już wtedy.

– Już tamto wymieranie miało charakter antropogeniczny...

– Jak najbardziej, ponieważ różnorodność biologiczna, którą znamy z wykopalisk, już nigdy potem się nie odtworzyła ze względu na pojawienie się nowych, agresywnych drapież-



Krzysztof Świerkosz: – I co? Cała Ziemia ma paść przed nami na kolana, bo sami przyznaliśmy sobie miano szczytowego osiągnięcia ewolucji? Dla biologa koroną stworzenia mogą być równie dobrze bakterie, grzyby lub niesporczaki – organizmy, przy których historii my jesteśmy tylko ewolucyjnymi odeskami! Fot. Archiwum K. Świerkosza

ników – człowieka, a później także psa dingo. Podobny przebieg wydarzeń miał miejsce wszędzie, gdzie w pewnym momencie pojawił się człowiek wraz z gatunkami, które ze sobą sprowadził, lub też jego populacja gwałtownie wzrosła, np. dzięki opanowaniu rolnictwa.

W Ameryce Południowej, na Madagaskarze czy na Nowej Zelandii odkrywamy całe zespoły megafauny, która masowo i szybko wymierała po tym, jak w danym miejscu pojawiał się człowiek. Czy było to 12 tys. lat p.n.e. czy rok 1300 naszej ery, przebieg wymierania był identyczny.

– *Czyli to szóste wymieranie, o którym czytamy w raporcie IPBES z początku maja 2019 miało miejsce już w czasach Sokratesa?*

– Zaczęło się około 45–42 tys. lat temu w Australii. W porównaniu z czasami dzisiejszymi mówimy jednak o wymieraniu megafauny, czyli dużych zwierząt. Wymarły na przykład w całości co najmniej cztery całe rodzaje słońcowatych. Słonie, które dzisiaj znamy, czyli leśny, indyjski i afrykański to pozostałości po wielkim zespole faunistycznym, który kształtował jeszcze niedawno krajobrazy na całej Ziemi. A to tylko wierzchołek góry lodowej.

– *A czym się różni ten dzisiejszy etap wymierania od tego sprzed naszej ery?*

– Wcześniejsze wymierania, na ile możemy je udokumentować, obejmowały dziesiątki, co najwyżej setki gatunków na tysiąclecie. Teraz następuje akceleracja tego procesu i ten milion zagrożonych roślin i zwierząt, o których mowa w raporcie, ten ogrom gatunków z dużym prawdopodobieństwem wymrze w ciągu kolejnych kilku dekad! No chyba że staniemy na wysokości zadania i podejmiemy odpowiednie działania.

– *W tym momencie trzeba zatem zapytać: „Cóż tam, panie, w polityce?”. Czy temat wymierania gatunków jest w ogóle na agendzie politycznej? Albo inaczej – czy po publikacji majowego raportu o wymieraniu IPBES pojawił się w Instytucie Zoologii we Wrocławiu albo w Instytucie Botaniki politycy czy dziennikarze pragnący zrozumieć, co ten raport oznacza dla Wrocławia?*

– Nie, oczywiście, że nie.

– *Oczywiście, że nie? Nie korzystają z waszej obecności w mieście?*

– *(śmiech)* Zdążyłem się już przyzwyczaić, że głos naukowców jest lekceważony. Przynajmniej od czterdziestu lat, kiedy mówimy o kryzysie biosfery. Zaczęło się od krytykowania Jamesa Hansena, dyrektora NASA Goddard Institute for Space Studies, który pisał już w latach osiemdziesiątych XX wieku o zmianach klimatu i zwracał uwagę na emisję gazów cieplarnianych. Na jego karierę składa się nie tylko entuzjazm uczonego, ale też zmasowana krytyka jego badań przez innych naukowców, głównie – jak się potem okazało – związanych z branżą

paliw kopalnych. Hansen wypowiadał się też krytycznie w kwestii technologicznego panaceum na problem zmian klimatu. Już wtedy ostrzegał, że okradamy nasze dzieci z przyszłości. Ale jakoś nie udało mu się nikogo specjalnie przekonać. W końcu odszedł z NASA i działa dzisiaj jako niezależny naukowiec, cały czas ostrzegając i publikując nowe prace. Warto dodać, że jego prognozy są dużo mniej optymistyczne niż te, które przedstawił raport IPCC Międzypaństwowego Zespołu ds. Zmian Klimatu, a te, które stawił do tej pory – sprawdzały się. Wiele osób ma świadomość, że w raporcie IPCC daje nadzieję głównie po to, aby zachęcić ludzi do działania, ale nie mówi całej prawdy.

– *Raport IPCC nie bierze też pod uwagę sprzężeń zwrotnych oraz zakłada, że w międzyczasie pojawi się jakaś supertechnologia, dzisiaj znana jedynie na papierze czy z badań laboratoryjnych, która obiecuje pochłanianie olbrzymich ilości CO₂. Nikt jednak nie wie, kiedy, gdzie i za jaką cenę taka technologia będzie w ogóle możliwa, chociaż biorąc pod uwagę powierzchnię Ziemi, jaką musiałaby pokryć, wydaje się ona raczej nie-realną wizją technologicznych fantastów.*

– Zakłada też udział geoinżynierii, np. rozpylania siarki w stratosferze, która miałaby zmniejszyć temperaturę na powierzchni ziemi, konstruowanie „sztucznych drzew” i inne szalone, za to bardzo kosztowne pomysły.

– *Widać, że uczeni jednak się przydają. A może mamy do czynienia z dwoma rodzajami naukowców? Tych, których się nie słucha, i tych, którzy oferują technologiczne panaceum na procesy, które mają u zarania przeczaić nie tylko naukowe, ale i aksjologiczne wyzwania? No więc jak to jest z tym słuchaniem naukowców?*

– Do geoinżynierii i spełniania technologicznych mrzonek nie są potrzebni naukowcy, ale inżynierowie, a to spora różnica.

– *Czyli dzisiaj bardziej ceni się inżynierów niż uczonych? Coś podobnego słyszałam ostatnio z ust prezydenta Brazylii, który twierdzi, że należy wykluczyć z finansowania humanistykę, bo ta tylko generuje wywrotowe idee, że potrzebni są inżynierowie i rozwój medycyny. Z kolei w Polsce stawia się od jakiegoś czasu bardziej na nauki przyrodnicze niż na humanistyczne, ale czy to znaczy, że przyrodników też nikt nie słucha?*

– Biologia, klimatologia, przedstawiciele nauk o środowisku ostrzegający przed nadmierną eksploatacją Ziemi po prostu wielu ludziom przeszkadzają. I to zarówno politykom, jak przedstawicielom tzw. nauk stosowanych, ponieważ nie pozwalają im robić tego,

w czym są najlepsi, czyli w sprzedawaniu fałszywej nadziei. Spójrzmy choćby na wielu hydrotechników, według których przeciwdziałanie powodzi ma polegać na budowie nowych, coraz wyższych wałów i wielofunkcyjnych zbiorników. Wielokrotnie kolejne powodzie weryfikowały, na co zdaje się zabudowa hydrotechniczna, kiedy przychodzi wielka woda. Jednak takie proste idee jak XIX-wieczna hydrotechnika łatwo docierają do ludzkiej wyobraźni, bo to jest namacalne. Przyjeżdża maszyna, ryje w dnie rzeki, odkłada na bok wielkie głązy, ryczy silnikiem... Działa i ludzie widzą, że działa. Jest konkret. A naukowcy myślą systemowo, wieloaspektowo, bo nie chodzi przecież tylko o tę jedną budowlę, ale o cały system naczyń połączonych, które nas przed tą powodzią mogłyby w sumie zabezpieczyć. To jest bardzo skomplikowane i kiedy przychodzi do przekonywania zwykłych ludzi, zwycięża ten najprostszy, namacalny pomysł. Zamiast rozbudowywać retencję zlewniową, odsuwać zabudowania, zmniejszać ilość powierzchni nieprzepuszczalnych *etc.* – wysyłamy kolejną koparkę. Zawsze też można o kolejną powódź oskarżyć bobry albo ekologów.

– A czy w związku z raportem o wymieraniu ludzi nikogo nie zainteresowało pytanie, które gatunki zwierząt czy roślin wyginą w Polsce?

– Nie tylko nie zainteresowało, ale chyba niewiele osób to w ogóle obeszło. Szczerze mówiąc, nie mamy zbyt wielu aktualnych danych, ponieważ środki na badania terenowe czy na badania podstawowe są od wielu lat ograniczane. Również jeżeli chodzi o robienie kariery naukowej w warunkach dzisiejszego uniwersytetu – stawia się na badania przekrojowe, takie, które mogłyby zainteresować czasopisma naukowe z listy filadelfijskiej. Oznacza to, że badania dotyczące lokalnych uwarunkowań są spychane na plan dalszy, bo nie dają szansy przebicia się w ważnych czasopismach, a jak wiadomo, uniwersytety biją się o każdy punkt, czyli właśnie o publikacje na listach światowych. Wiemy natomiast, zarówno z opracowań ogólnoeuropejskich, jak i własnych, nawet pobieżnych obserwacji, że bardzo spada liczebność i różnorodność gatunkowa owadów, w tym szczególnie dla nas ważnych zapylaczy. Kiedy z rodziną sprawdziiliśmy się tam, gdzie dziś mieszkamy, raptem kilka lat temu, na kwitnącym wiosną migdałowcu było mnóstwo trzmieli, pszczoł i pszczolinek... Od dwóch lat już ich prawie nie widuję.

– Z tego, co wiem, władze Wrocławia zleciły naukowcom przygotowanie ekspertyzy dotyczą-

cej adaptacji miasta do zmian klimatu? Możesz powiedzieć coś więcej?

– Przygotowałem dla Wrocławia założenia do strategii gospodarowania różnorodnością biologiczną, ale nie wiem, czy i jak miasto te założenia wykorzystało. Ważne jest natomiast, że sami mieszkańcy robią wiele w temacie bioróżnorodności miasta. Mamy przecież ciągle spory o Park Grabiszyński, o zakładanie łąk kwietnych, o rzadsze koszenia trawników *etc.* Miasto zaczyna coraz częściej przychylić się do tych propozycji, co jest doskonałym pomysłem, choć jak każde nowatorskie rozwiązanie – budzi poważny opór tradycyjnie nastawionej części społeczeństwa. Po tegorocznej suszy zaczyna to być już trend ogólnopolski, co napawa optymizmem.

– Czy mimo braku dokładnych badań możesz powiedzieć, co raport o wymieraniu gatunków oznacza dla przeciętnego mieszkańca naszego kraju, który przecież codziennie musi coś pić, jeść czy oddychać?

– To chyba nie dociera jeszcze do wyobraźni ludzi. W tej chwili wszystkim wystarczy, że mają pieniądze, a z kranu leci czysta woda. Półki z żywnością w supermarketach jeszcze się uginają. Za parę złotych można się poczuć jak mieszkaniec Tajlandii czy Brazylii, bo produkty z tych krajów są w zasięgu ręki. Dla normalnego człowieka wymieranie gatunków jest więc czystą abstrakcją, bo nie ma żadnego wpływu na jego codzienne życie. Więcej – jestem przekonany, że wiele osób cieszy się, że jest mniej owadów, ptaków, roślin, które wcześniej były dla nich tylko zawadą. Ot – weźmy komary... Czy ktoś będzie żałował komarów?

– Ale czy nie będzie nam doskwierala samotność, w pewnym sensie nie z tej ziemi, kiedy oprócz człowieka zostaną tylko kury, świnię, krowy, koty, yorki i na deser tuje?

– Historia człowieka to domestyfikacja środowiska i podporządkowanie sobie przyrody. Wielu ludzi nadal, tak samo jak 100 tys. lat temu, czuje lęk przed przyrodą, przed nieuporządkowanym lasem, w którym muszą przecież kryć się jakieś groźne, dzikie zwierzęta. Tylko że dziś ten lęk jest totalnie irracjonalny. I myślę, że wymieranie gatunków, zanikanie naturalnych ekosystemów to dla wielu ułatwienie. Znika źródło lęku zastąpione przez wszechobecne proste linie i sztuczne materiały. Ale to złudne bezpieczeństwo i jego poczucie szybko pryśnie. Ci sami ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że monokultura promuje gatunki inwazyjne czy też takie, które działają obosiecznie – że sami

przyczyniamy się do rozprzestrzeniania chorób, które atakują nas i zwierzęta, które hodujemy. Likwidując jedne gatunki, przyciągamy inne, które mogą w przyszłości zaszkodzić naszym uprawom i nam samym. Tylko kto się tym przejmie? Mamy przecież pestycydy, a w ostateczności – myśliwych...

– *Historia się powtarza. Na krótkowzroczność, materializm narzekano od dawna. Nieumiarkowanie, brak refleksyjności to nie tylko ubolewania mędrców starożytności. Kiedy intelektualisci przestrzegali polityków przed katastrofą państwa czy rozbiorami, ci zapatrzeni w czapkę z piór zмирzali z pieśnią na ustach na dno. Do kogo zatem skierowane są publikacje mówiące o szóstym wymieraniu? Do kogo mają trafić alarmistyczne przestrogi?*

– Raport poruszył pewnie tych, którzy już wcześniej byli zaniepokojeni, którzy doskonale wiedzą, że świat od jakiegoś czasu zmierza w bardzo złym kierunku. W skali kraju, jak myślę, to około 100–200 tys. osób. Niech ich będzie – optymistycznie założę – nawet pół miliona. To i tak mało przy 38 milionach. Tak więc ta najbardziej świadoma grupa ma najmniejszą moc przełożenia swojej wiedzy na realia polityczne.

– *Dość pesymistyczna diagnoza.*

– Realistyczna. Problem zmian klimatu czy wymierania gatunków przeciętny Kowalski odczuje dopiero wtedy, kiedy półki w hipermarketach opustoszeją, a ceny gwałtownie wzrosną. Za jakiś czas nie będzie nas stać na kawę czy kakao – zresztą już dziś niektórych nie stać na pietruszkę i krajowe truskawki.

– *Albo zabraknie ropy, aby je dowieźć?*

– *Peak oil*, osiągnięcie szczytu wydobywania ropy wieszczono od dawna i jako cały czas ropa jest, tyle że z droższych i trudniej dostępnych złóż. Rosnące koszty wydobywania (EROEI) czy transportu i tak pokrywa konsument w cenach produktu.

– *Towarów zabraknąć może również tam, gdzie transport zależny jest od poziomu wód w rzekach. Niski poziom Renu wielokrotnie w ostatnim czasie sparaliżował transport ropy i towarów np. do Zagłębia Ruhry czy do Nadrenii.*

– Wystarczy popatrzeć na poziom wody w Wiśle. Marzenia o drodze wodnej na tej rzece już od lat można włożyć między bajki. Banalna wręcz prawda brzmi: przyroda i życie człowieka to system naczyń połączonych. Ostrzegawcze sygnały o zachwianiu równowagi w tym systemie docierają do nas przynajmniej od 15 lat,

a od 2015 roku te sygnały wręcz wyją, krzyczą i świecą na potęgę. Tylko że zauważają je ci, którzy chcą je zauważyć.

– *Ale np. politycy, wydawaloby się, powinni być tym zainteresowani.*

– „Wydawaloby się” – ładnie sformułowane. Ale większość polityków ma wyobraźnię i wiedzę zbliżoną do wiedzy i wyobraźni swoich wyborców. Inaczej nikt by ich nie wybrał (śmiech).

– *No i dochodzi jeszcze myślenie kadencyjne.*

– A w tych kwestiach potrzeba wizji na lata. W Europie mamy akurat dobrą falę, bo Zieloni stali się ważną siłą polityczną w Parlamencie Europejskim, ale w Polsce ludzie albo nie wierzą w katastrofę klimatyczną, albo ją źle diagnozują. Zresztą nie wszystkie rozwiązania proponowane przez europejskich Zielonych wydają mi się trafne lub możliwe do realizacji.

– *Przecież nagłówki o katastrofie klimatycznej krzyczą do nas z każdej strony, ruch Extinction Rebellion zaprasza na Pogrzeb Przyszłości, młodzież protestuje pod Sejmem.*

– Ludzie nie rozumieją, że ten problem ich dotyczy. Powódź w USA czy susza w Australii? To nie jest nasza sprawa. Problemem za to staje się deszcz padający we Wrocławiu przez kilka dni, bo przecież na rowerze nie można pojeździć...

– *„Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zacinzna, byle polska wieś spokojna”?*

– Tak naprawdę większość ludzi żyje nadal mentalnie w paleolicie. Myślmy o tym, czy będziemy mieli jutro co jeść i czy sąsiednie plemię na nas nie napadnie. Wydaje nam się, że jesteśmy cywilizowani, że dawno odeszliśmy od naszych biologicznych podstaw, a tak naprawdę to tylko cieniutka warstewka pożyty. Poskrobać paznokciem i wychodzi z nas normalny organizm biologiczny, jak wszystkie inne na ziemi z kilkoma prostymi imperatywami.

– *Myślałam, że będziemy rozmawiać o samotności człowieka w świecie bez innych gatunków, o utraconej szansie przeżywania wspólnotowości międzygatunkowej, która wydaje się właśnie rodzić, a tu pospolitość skrzeczy, bo chyba wiele osób z tej samotności się cieszy – wystarczy im „mój dom, mój samochód”.*

– I grill. Grill jest niezbędny.

– *Samotność wpisana jest też chyba w nasz europejsko-amerykański indywidualizm. Niepotrzebne są nam inne gatunki, ale do ludzi też nam nieprędko.*

– Rozpadają się rodziny, słabną więzi społeczne, relacje z innymi gatunkami. Na ile nasza

polityka klimatyczna współgra z prewencją przyszłych prawdopodobnych katastrof przyrodniczych? Chyba wcale. I na to też odpowiedź podpowiada biologia. W procesie domestyfikacji jednostka załatwia coraz więcej potrzeb bez konieczności kooperacji z innymi ludźmi, na tym ten proces właśnie polega – na rosnącej bańce pozornego bezpieczeństwa.

– *A czy w sytuacji katastrofy uda nam się kooperować?*

– W dojrzałych demokracjach będzie to łatwiejsze, ale gdzie indziej ludzie po prostu podzielią się na plemiona i będą walczyć o zasoby. Zauważ, że już dziś w procesach demokratycznych społeczeństwa coraz częściej wybierają przywódców obiecujących bezpieczeństwo, nawet jeśli zapowiadają oni ograniczenie praw jednostki... Przykłady Bolsonaro czy Duterte w Filipinach są znaczące, ale i w Europie coraz więcej ludzi zaczyna zerkać w stronę niedemokratycznych czy wręcz autorytarnych systemów. Narastają tendencje izolacjonistyczne, rośnie ksenofobia. To naturalne skupianie się jednostek w plemiona w obliczu nadchodzącego zagrożenia, chociaż zupełnie błędnie to zagrożenie definiujemy. Dlatego zamiast ograniczać spalanie węgla czy loty samolotem budujemy płoty na granicy... To żalotne, bo nie ma płotu, który zatrzymałby miliard Hindusów uciekających przed suszą we własnym kraju.

– *Wiem, że to kontrowersyjne, ale czy nasze państwo nie mogłoby wejść w rolę podmiotu ograniczającego, Lewiatana doby zmian klimatu, ogłaszając np., jak niektóre kraje, stan zagrożenia klimatycznego? Mówię o swego rodzaju prewencji, w ramach której pewne działania konsumpcyjne czy transportowe zostałyby ograniczone po to, aby uniknąć katastrofy. Taki Lewiatan, w imię bezpieczeństwa, pozwałaby np. na jedzenie mięsa tylko raz w tygodniu. Wprowadziłyby pewne zakazy dotyczące stylu życia, do jakiego się przyzwyczailiśmy – indywidualnej jazdy samochodem, zabudowywania terenów zalewowych, wycinki drzew?*

– Sądzę, że taki stan wyjątkowy mógłby być wprowadzony w dojrzałych demokracjach, gdzie ludzie potrafią kooperować i mają świadomość wspólnego celu oraz wolę jego realizacji. W Polsce sobie tego nie wyobrażam. Byłby to pewnie jedyny przypadek, kiedy liberalowie i skrajna prawica protestowałyby razem na ulicach... Kiedy w 1963 roku mieliśmy epidemię ospy, bez interwencji wojska się nie obyło.

– *Wchodzimy mocno w politykę, ale jak się okazuje, bez polityki debaty o zmianach klimatu*

nie ma, choć jak powiedziałeś, na razie nie jest to temat tak eksponowany jak inne, bardziej abstrakcyjne zagrożenia, jak choćby zamachy terrorystyczne czy napaść na tradycyjne wartości.

– W Europie zielone tematy są na agendzie od czterdziestu lat, jednak nawet tu daleko do ideału, poza tym Europa nie jest wiodącą siłą na świecie. Świat dziś zależy od tego, co zrobią Chiny, Indie, USA, Brazylia. Póki Europa się naprawdę nie zjednoczy, jej głos będzie cichy i mało znaczący.

– *Mimo że nagłówki krzyczą, mało kto bierze je do serca, ale jeszcze mniej osób je rozumie. Powtarzane są hasła takie jak katastrofa ekologiczna, ale co to w ogóle znaczy? Czy zapaść ekosystemu? Jak rozumieć te nagminnie powtarzane terminy?*

– Po pierwsze katastrofa jest naturalnym elementem dynamiki przyrodniczej. Zmiany klimatu też są czymś naturalnym i zawsze na Ziemi występowały. Ale dzisiaj katastrofa klimatyczna czy zapaść ekosystemu oznacza tak szybkie nachodzenie na siebie zmian, że w efekcie zagrożone staje się życie człowieka jako gatunku. W literaturze określa się to jako *perfect storm*.

– *Katastrofa ekologiczna nie jest zatem terminem opisowym, ale raczej normatywnym? To coś, co oznacza pogorszenie warunków życia człowieka?*

– Wkrótce niektóre części Ziemi prawdopodobnie nie będą się już nadawały do życia człowieka. Będą to swego rodzaju *no go area* dla *Homo sapiens* – wszędzie tam, gdzie fale upałów będą towarzyszyły wysokiej wilgotności, przeżycie na powierzchni ziemi nie będzie możliwe. Określamy to jako problem mokrego termometru – przy pewnej wilgotności powietrza organizm stałocielny nie jest już w stanie się chłodzić – i umiera. Oczywiście możemy zbudować klimatyzowane pomieszczenia – ale czy zmieszczą się nim dziesiątki milionów ludzi? A co będzie, jeśli zabraknie prądu?

– *A załamanie ekosystemu?*

– Wolę słowo kolaps. Tak określamy w naukach przyrodniczych przejście z jednego stanu w inny, zwykle gwałtownie i skokowo. Np. głąz na szczycie góry wydaje się stabilny, ale niektóre czynniki – wiatr, woda, korzenie roślin – działają na niego, bardzo powoli, stopniowo i niezauważalnie zakłócając jego stabilność. Zmiana stanu – ze statycznego na dynamiczny – odbywa się nagle i bez ostrzeżenia, aż na dole stoku głąz znowu staje się stabilny. A że po drodze zgniecie to i owo... trudno...

- Jesteśmy na etapie erozji podmywającej ten głaz czy już spadamy?

- Z biologicznego punktu widzenia – spadamy. Cały czas możemy jeszcze te zmiany spowodzić, ale wymagałoby to zmiany modelu gospodarki, która cały czas zabiera nowe naturalne regiony pod uprawę, hodowlę zwierząt i wydobywanie paliw. Problemy są zasadniczo trzy. Po pierwsze mamy korporacje wydobywcze, rolnicze, drzewne, którym dano niesamowite fory i wpływ na politykę. One zupełnie legalnie niszczą planetę, za przyzwoleniem problemu drugiego – czyli nieświadomych niczego polityków, których rzęsa niedouczonej lub wręcz przekupionej ekspertów utrzymuje w błogiej nieświadomości. Problem trzeci – to zbyt wielu normalnych ludzi, którzy tego nie widzą, żyją dniem jutrzejszym, wieczornym grillem i dobrem swoich najbliższych. Tylko że do tych najbliższych nie należą już ich przyszłe pokolenia.

- W XXI wieku chcielibyśmy myśleć, że nie jesteśmy już aż tak gnuśni i ograniczeni. Czy to oznacza, że oświecenia naprawdę jeszcze nigdy nie było? Nigdy jeszcze człowiek nie stał się człowiekiem, rozumiejąc innego człowieka w kategoriach humanizmu?

- Ludzie lubią myśleć o własnej wyjątkowości, podkreślać ją i puchnąć z dumy, jaką to są niewiarygodnie cudowną koroną stworzenia. Ale jako biolog wiem, że człowieka od innych zwierząt różni naprawdę niewiele. Powinniśmy być bardziej ludzcy, ale nie jesteśmy. I nie jesteśmy też wyjątkowi. Szansę tego, że jesteśmy inteligentniejsi od innych gatunków, odrzuciliśmy w imię prostych, biologicznych imperatywów – czyli przekazywania genów kolejnym pokoleniom przy wykorzystaniu wszystkich dostępnych zasobów. A przecież dokładnie to samo robią mrówki czy bakterie.

- W roku 2019 to kolejny powód, aby poczytać Wyspiańskiego. To, o czym mówisz, kojarzy mi się z tańcem chochoła nad przepaścią. Mamy igrzyska, zabawę i jednocześnie niewykorzystaną szansę działania, którą podpowiadają przewidujący ludzie, swego rodzaju Stańczycy. Stańczykami dzisiaj wydają się młodzi ludzie. *Ruch Extinction Rebellion?* Kibicujesz im?

- To, co zrobili w Wielkiej Brytanii, daje powody do zadowolenia. Popieram wszystkich, którzy angażują się w działania na rzecz przyrody i klimatu – od opieki nad łąką kwietną i domkiem dla zapylaczy po okupację harwestorów czy kominów elektrowni węglowych. Nawet jeśli nie zawsze ze wszystkimi i we wszystkim się zgadzam – to nie jest już czas na podziały.

Kryzys klimatyczny dotknie wszystkich – lewicowców, liberałów i konserwatystów po równo. Prawicowych populistów też dotknie – już dotyka – nawet jeśli temu gorąco zaprzeczają.

- Jaki symbol wymierania widziałbyś na polskich flagach ruchu przeciwko wymieraniu? Dzisiaj mamy klepsydrę, nad resztą unosi się w powietrzu barokowa vanitas.

- Trudny wybór, ale chyba jednak wilk i dzięcioł trójpalczasty. Wilk nie tylko dlatego, że udało mu się uniknąć kul myśliwych, ale też, że wydaje się doskonałym symbolem dzikiej przyrody. A dzięcioł żyje tam, gdzie lasy jeszcze są w miarę naturalne.

- Powiedz mi jeszcze, chociaż obawiam się, że dla naukowca przyrodnika nie będzie to łatwe, dlaczego mamy ratować biosferę? Po co ratować nasz świat?

- Dla siebie. Biosfera przeżyła już w swojej historii wiele potężnych kryzysów. Raz czy dwa była na skraju zaniku. I zawsze odtwarzała po kilku milionach lat poprzednią różnorodność, korzystając z puli organizmów, które przetrwały wielkie wymieranie. Życie biologiczne więc sobie poradzi, ale my możemy stracić ostatnią szansę na ocalenie gatunku *Homo sapiens*.

- To dość zaskakujące w kontekście tego, co powiedziałeś dotychczas. Przecież jesteśmy dość zniechęceni naszym gatunkiem, który wywyższa się w imię humanizmu, a jednocześnie w dalszym ciągu nie osiągnął etapu człowieka moralnego, takiego, jakim chcielibyśmy go widzieć – mądrego, przewidującego, troskliwego, opanowanego. Ty przecież nie wierzysz, że to możliwe, a jednak chciałbyś dać człowiekowi szansę?

- Człowiek, tak samo jak inne gatunki, zasługuje na swoją szansę. Życie ewoluuje i zaskakuje. Podczas kryzysu permskiego czy po uderzeniu asteroidy na granicy kredy i trzeciorzędu, nie przeżyły gatunki, które były mniej więcej naszych gabarytów. Możemy więc nie przeżyć kryzysu, jaki wywołaliśmy, ale życie będzie trwało dalej. Tego rodzaju dyskusje zawsze natrafiają na sprzeczności.

- Czy posthumanizm albo coraz większe zainteresowanie sztuki tematem przyrody może pomóc?

- To jest problem ważny dla humanistów, ale dość niszowy, jeśli chodzi o resztę społeczeństwa. Humanistyka zresztą długo nie interesowała się tym tematem. Ważna byłaby współpraca między naukowcami wielu dyscyplin, publicystami czy artystami, ale niestety idea uniwersytetu to już nie to, co w średniowieczu. Przez specjalizację i twarde wymogi publikowa-

nia, ludzie często nie wiedzą, czym się zajmują ich koledzy na innych wydziałach, ba – nawet w sąsiednich katedrach. Zaslugą humanistów byłoby komunikowanie problemu w sposób, który dociera do wyobraźni i do przyjętego systemu wartości. Takie inicjatywy zaczynają się już pojawiać. Będę brał udział w tyłu, w ilu zdołam.

– *A może potrzebujemy np. religii, aby bardziej pokochać człowieka czy przyrodę? Skoro nikt nie słucha naukowców, to może posłucha kaznodziejów?*

– Myślę, że rynek religii jest już mocno wypełniony i ciężko będzie się przebić z jakąś nową ofertą. Papież Franciszek zresztą się stara, ale nawet jego wierni i hierarchowie słuchają niechętnie. Zauważ, że jest to pierwszy dostojnik kościoła katolickiego tej rangi, który chętniej cytowany jest przez liberałów czy wręcz ateistów niż wiejskich proboszczów. Więc nawet jego nauka zostaje w humanistycznej bańce i nie przebija się na dół, czyli tam, gdzie przede wszystkim powinna być.

– *Zaraz, zaraz, mówisz, że człowiek zasługuje na ochronę, mimo że w niego nie wierzysz?*

– Człowiek jest nad przepaścią i nic sobie z tego nie robi. To frustrujące. Każdy gatunek zasługuje na ochronę, nawet człowiek...

– *Musimy zadbać o podstawy, a mieliśmy złoty róg...*

– ...i zgubiliśmy go.

– *Czyli został nam tylko sznur?*

– Mam dzieci i chciałbym jednak, aby mogły pożyć jeszcze w miarę normalnie i bezpiecznie na tym świecie. Gdyby nie one, siadłbym pewnie wygodnie z fotelu z lampką wina i przeglądając codzienne wiadomości, mówił co chwila: „O... jaka piękna katastrofa...”. A tak? Nie ma czasu na siedzenie...

– *Motywacja do ocalenia własnych dzieci jest dla mnie zrozumiała. Jednak dzisiaj chodzi często nie o ratowanie własnych dzieci, ale przyszłych pokoleń, nie zawsze z nami spokrewnionych. Poza tym nie wszyscy mamy dzieci. Dlaczego zatem mamy się angażować i ratować planetę? Czy mam rozumieć, że gdybyś tych dzieci nie miał, to siedziałbyś i oglądał Mad Maxa?*

– *Raczej Władzę Pierścieni.* To najpiękniejsza baśń, jaką znam, szczególnie w interpretacji Jacksona. Ale *ad rem*. Jakis czas temu rozmawialiśmy o przyszłości w świecie globalnego ocieplenia z parą moich przyjaciół. I zdziwiło mnie ich czysto analityczne podejście do tego problemu – omawiali go z nauką precyzją i całkowicie bez emocji, tak jakby możliwość wymar-

cia całej ludzkości i dużej części pozostałych organizmów żywych zupełnie ich nie dotyczyła. Paradoksalnie, to ja się zapalałem i szukałem sposobów na uniknięcie fatum, a oni dziwili się tym emocjom. Dopiero później, w domu, zdałem sobie sprawę z istotnej różnicy – oni nie mieli dzieci i mieć ich nie będą. Ta jedna różnica determinuje całe podejście do zagrażającej nam katastrofy. Tak, gdybym nie miał dzieci, widziałbym pewnie ten problem podobnie jak oni – jako naukową łamigłówkę o bardzo intrygujących rozwiązaniach, które jednak osobiście mnie nie dotyczą. W głębi duszy zawsze jesteśmy przecież samotni...

– *Ale dzisiaj w ratowanie świata angażują się ludzie młodzi, którzy przecież nie mają dzieci. Mało tego, bardzo poważnie zadają sobie pytanie, czy rodzenie dzieci w tej sytuacji jest uzasadnione moralnie?*

– Czy warto w tej chwili mieć dzieci? Możemy o tym w pewnej mierze decydować, ale tak naprawdę decydują nasze geny, uruchamiając lub nie określone szlaki hormonalne. Jak każdy organizm w przypadku możliwej zagłady reagujemy paradoksalnie, wzmagając wysiłek prokreacyjny. Wymieranie osobników w populacji jest procesem stochastycznym – pewne osobniki mają większe, inne mniejsze szanse przeżycia – zależy to od charakteru zagrożenia i jego intensywności. Ci więc, którzy z posiadania potomstwa rezygnują, może oszczędzą im przyszłych cierpień – o których nadal na szczęście tylko spekulujemy – ale z tego genetycznego wyścigu o przekazanie genów wypisują się już na zawsze. Ci, którzy mają dzieci – zwiększają szansę przetrwania swoich genów. Nawet jeśli jest znikoma.

– *To dość naturalistyczne podejście. Uzasadniasz ratowanie świata w kategoriach genetycznych – chcę, aby moja pula genowa przetrwała. Ale czy to jedyne uzasadnienie i motywacja dla ruchów klimatycznych? A co z przeszłością? Czy dorobek innych pokoleń jest ważny? Przecież wraz z katastrofą zniszczone zostaną owoce pracy ludzi i zwierząt, ogromne ilości drewna, wynalazki, dzięki którym wielu rzeczy nie musieliśmy zaczynać od początku? Co z ocaleniem tego, co już wyewoluowało?*

– Odpowiedź na to pytanie zależy od perspektywy, w jakiej je rozpatrujemy. Ja patrzę w skali życia ziemskiego, czyli ok. 4,5 miliarda lat. Za nami jest ogromna historia planety, z powolnym kształtowaniem się pierwocin życia, powstawaniem organizmów, budowaniem złożonych ekosystemów; z wielkimi kata-

klizmami wstrząsającymi Ziemią w geologicznym mgnieniu oka i z trwającymi miliony lub dziesiątki milionów lat okresami stazy [tu w znaczeniu stanu zatrzymania w czasie – **przyp. red.**], wypełnionymi leniwą, niespieszną ewolucją. I nagle przychodzimy my, ze swoimi pięściakami, łukami, zamkami, wojnami i królami... I co? Cała Ziemia ma paść przed nami na kolana, bo sami przyznaliśmy sobie miano szczytowego osiągnięcia ewolucji? Dla biologa koroną stworzenia mogą być równie dobrze bakterie, grzyby lub niesporczaki – organizmy, przy których historii my jesteśmy tylko ewolucyjnymi oseskami, w dodatku zupełnie bezbronnymi bez swojej technologii i medycyny. Zresztą lekooporne bakterie właśnie zaczynają nam udowodniać, że ta megalomania nie ma mocnych podstaw.

– *A co z bioróżnorodnością? Czy ona sama w sobie zasługuje na ochronę, abstrahując od jej użytecznych funkcji?*

– Pytasz człowieka, który od 25 lat zajmuje się ochroną przyrody o to, czy warto ją chronić... To podchwytliwe pytanie, bo nie znam na nie ściśle naukowej odpowiedzi. To imperatyw moralny – obrona słabszych, krzywdzonych i zabijanych, tych, którym grozi zagłada, jest po prostu słuszna i właściwa. Inaczej postępować nie wolno. Kropka. Nie wiem, jak ktoś może myśleć inaczej – choć z Internetu co rusz dochodzą do mnie sygnały, że podobnie do nas myślących jest garstka. Że w porównaniu z tymi, którzy strzelają do żyraf, żeby mieć selfie z martwym niewinnym zwierzęciem; którzy obcinają płetwy żywym rekinom, palą żywcem świnię czy tysiącami mordują pangoliny, wieloryby i delfiny... jesteśmy tylko nikłym i łatwym do zdmuchnięcia światełkiem. Ta skala bezmyślnego okrucieństwa przeraża mnie i przytłacza, bo wiem, że ludzie, którzy nie okazują litości zwierzętom, dla innych ludzi także będą bezliłośni. Argumenty użyteczne („bez przyrody nie przetrwamy jako gatunek”) są ważne i kluczowe w społecznym odbiorze tego działania, jednak z czysto naukowego punktu, jeśli patrzymy na życie w aspekcie jego historii planetarnej, to rola ochrony „tu i teraz” maleje.

– *Brzmi to fatalistycznie. Marność.*

– Wiem. Dla wielu to wręcz nihilizm. Musimy jednak zdać sobie sprawę, że w historii Ziemi znaczymy tyle samo co ziarna żwiru, kępy trawy lub muszelki.

– *Może nadszedł czas, by ewolucja człowieka weszła na drogę moralną, może właśnie teraz*

uda nam się pokazać sobie samym, że jesteśmy ludźmi. Z dziurą ozonową nam się udało.

– W historii życia człowiek jest tylko jednym z wielu gatunków. Ale to nam właśnie dano możliwość patrzenia w gwiazdy. Więc nie powinniśmy zmarnować tej szansy i może jednak... uratować *Homo sapiens*. Bo jak się nie uda, to wszechświat po nas nie zapłacze. Wszechświatowi jesteśmy doskonale obojętni.

Rozmawiała Hanna Schudy

Dr hab. Krzysztof Świerkosz – pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego, autor około 140 publikacji naukowych z zakresu geobotaniki i ochrony przyrody, a także artykułów popularnonaukowych i podręczników szkolnych z zakresu wiedzy o świecie i rozwoju zrównoważonym. W latach 1999–2006 prowadził w TVP cykl programów przyrodniczych *W Rajskim Ogrodzie* (reż. Wojciech Popkiewicz). Pisuje także wiersze, w 2009 roku ukazała się jego książka poetycka *Obieżyświat*.